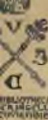


52





…DZIEŻY SZKOLNEJ 82

E. DEMOLDER

MAŁA SŁUŻĄCA

OPRACOWAŁA C. NIEWIADOMSKA



WARSZAWA NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA 1908

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

			Kop.
53.	Sienkiewicz H.	Za chlebem	20
54.	» »	Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego	10
55.	» »	Sielanka — Legenda żeglarska	6
56.	Siemieński L.	Portret króla Jana. — Posłowie siewierscy	6
57.	» »	Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii	6
58.	Sienkiewicz H.	Orso — Sachem	8
59.	Gomulicki W.	Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej	6
60.	Kosiakiewicz W	Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe	8
61.	Sewer.	Łusia Burlak	10
62.	»	Wiosna	10
63.	»	Dola	8
64.	Dygasiński A.	Co się dzieje w gniazdach	8
65.	Sieroszewski W.	Kulisi	10
66.	» »	W ofierze bogom	8
67.	» »	Bokser (Uang-Ming-Tse)	6
68.	Kaczkowski Z.	Bitwa o chorążankę	10
69.	Prus Bol.	Cienie. — Z legend dawnego Egiptu. — W górach	6
70.	Konopnicka M.	Wojciech Zapała	5
71.	» »	W Winiarskim forcie	5
72.	» »	Urbanowa	5
73.	» »	Miłosierdzie gminy	8
74.	Lenartowicz T.	Wybór poezyi	8
75.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Wybór poezyi	10
76.	» »	Janko Cmentarnik	6
77.	Hoffmanowa Klem.	Dziennik Franciszki Krasińskiej	20
78.	» »	Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
79.	Czerneda M.	(Bierzyński). Niepłakany	6
80.	» »	Kancelista	6
81.	Kraszewski J. I.	Żywot i przygody imci Pana Józefa z Gozda Hrabi Gozdzkiego — Pan Starosta Kaniowski	10
82.	» »	Jak się dawniej listy pisało	6
83.	» »	Psiarek	6
84.	Wilczyński Ad.	Przykładna kara	6
85.	Chodźko Ign.	Samowar	6
86.	» »	Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka	10
87.	» »	Boruny	10
88.	Górski K. M.	Biblioman	6
89.	Lenartowicz T.	Zachwycenie	4
90.	Korzeniowski J.	Karpaccy górale	10
91.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Ułas	8
92.	» »	Kęs chleba	8
93.	» »	Jan Dęboróg	10
94.	» »	Trenzlowe — Spowiedź P. Korsaka	10
95.	» »	Wielki czwartek	8
96.	Asnyk Adam.	Wybór poezyi	8
97.	Ujejski K.	Wybór poezyi	8
98.	Pol Wincenty.	Pieśń o ziemi	10
99.	Wasilewski Edm.	Wybór poezyi	6
100.	Zaleski J. B.	Wybór poezyi	12

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 82

EUGENIUSZ DEMOLDER

MAŁA SŁUŻĄCA

OPRACOWAŁA

Z. NIEWIADOMSKA



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW – G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

W ósmym roku życia Andzia wyganiała już cztery krowy i dwanaście gęsi na ojcowe pole, pilnowała trzech młodszych siostrzyczek, uwieszonych u czarnej spódniczki, i tuliła w ramionach tłustego malca, owiniętego w podarte pieluchy.

Wiatr owiewał jej czoło, igrał z warkoczami.

Andzia śpiewa miłym głosem ludową piosenkę, bystrem spojrzeniem śledzi stadko żółtodziobych ptaków. Na czele kroczy ojciec, poważny gąsior z długą szyją, i co chwila gęga zgryźliwie na żonę, która jest bardzo otyła i ciągle pozostaje w tyle. Krowy stąpają zwolna, z pochyloną głową.

Andzia baczy na wszystko i ma jeszcze dosyć czasu na zabawę z dziećmi, co tak, jak ona, przychodzą paść bydło. Małe dziewczynki i chłopcy z zachwytem przysłuchują się piosenkom Andzi, tęsknym, żałosnym, to znowu wesołym i skocznym.

Czasem Andzia opowiada długie, zajmujące bajki i nigdy nie dodaje słów zbytecznych, a skoro nie umie odpowiedzieć na jakieś trudniejsze pytanie — cichnie i odrazu przyznaje się, że nie wie.

Mała pastuszka czuje się bardzo szczęśliwą: w sercu ma spokój, prostotę, sumienie zawsze czyste, zadowolona jest ze wszystkiego, nikomu nie zazdrości. Nieraz, gdy wzrok jej pobiegnie w górę, ku dalekim chmurom i szarym wieżycom kościołka, otoczonym wieńcem zielonych topoli, — twarz jej rozjaśnia się ogromnym blaskiem, i wzdycha czegoś bezwiednie, głęboko.

— Gdybym tu zawsze żyć mogła — szepcze do siebie cichutko.

Ale dobre czasy mijają zwykle prędko. Złe nadchodzą nieproszone, nie trzeba ich szukać daleko.

Andzia rośnie na radość, czy na cierpienie — dowie się u końca życia. Mówią tylko co roku, że rok jej przybywa. Trudno o tem zapomnieć! Urodziła się w dzień św. Mikołaja, kiedy w Bretanji obchodzą dożynki. Wieśniacy przynoszą z pola do domu ze śpiewem ostatnie zżęte kłosy, zebrane w snop złocisty i ubarwione więzią świeżych kwiatów. Więc trudno. Pewna data!

— Takie urodziny oznaczają, że tęgo i zdrowo wyrośniesz, że ci wszędzie będzie dobrze i potrafisz się obronić dzielnie od złych ludzi — objaśniła kiedyś matka.

— Dałby Bóg, mamo — mówi zamyślona Andzia. — Wiem tylko, że nigdzie nie będzie mi tak, jak tutaj, w naszej wiosce.

Podobne rozmowy nieokreślonym smutkiem napełniają duszę dziewczynki, i długo nie może sobie potem znaleźć miejsca. Raz nawet, kiedy wybijała masło w drewnianej maślnicy, łzy, jak groch, jęły sypać się po twarzy.

— Osolisz masło, niecnoto — krzyknął żartobliwie sąsiad.

Skończyła wreszcie lat dwanaście. Wtedy ją osłonięto przejrzystym welonem i całą drżącą ze wzruszenia poprowadzono przez kwieciste łąki, po szarej ścieżce, ocienionej ciemnemi drzewami, do starego kościołka. W kościele powitały ją dymy kadzideł, i Andzia śpiewała jakiś hymn pobożny. Po komunji wracały cicho, długim wieńcem, w przydrożnych sadach kołysały się drzewa, wiatr pieścił lekko przejrzyste welony.

Mijały starców, wygrzewających się w słońcu na przyzbie, leciały za niemi życzliwe pozdrowienia, przestrogi i błogosławieństwa.

— Duża jesteś, Andziu! Teraz już musisz zarabiać na życie — biegnie za dziewczynką niespokojnym szmerem.

Dziwnym, nieokreślonym lękiem przejmują ją te słowa, wraca do chaty z pochyloną głową, wydaje jej się, że dzwony gonią ją tem samem brzmieniem.

— Pracuj! Pracuj!

Mija wysoki próg ojcowskiej chaty, u komina ciemnieje jakaś przygarbiona postać; to matka — płacze głośno.

W ręku trzyma pomięty list męża. Barkę rybacką pochłonęła bezlitosna burza, zaledwie ocalili sieci. Grube łzy spływają po pomarszczonej twarzy, ale w oczach prześwieca blask radości. Tyle szkód, tyle straty — ale ojciec żyje! I za to dzięki Tobie, miłosierny Boże!

Obejmuje córkę badawczem spojrzeniem.

— I za to dzięki, żeś wyrosła zdrowo — szepcze drżącemi usty. — Zapracujesz na siebie, zarobisz.

Andzia wybucha nagle cichym płaczem, już wie, zrozumiała wszystko.

— Tak, mamusiu — odpowiada. — Maryjka służy w Rennes oddawna. Co miesiąc dostaje dziesięć franków, czyste ubranie, ma co jeść, gdzie mieszkać.

— Maryjka jest siostrzenicą naszego proboszcza — odzywa się z westchnieniem matka. — Sam ksiądz biskup wystarał się dla niej o miejsce.

Polecono Andzię znajomemu koloniście, ten wie chyba, jaka jest robotna. Obiecuje wstawić się za nią w pałacu.

— Gdybym mogła być tu gdzie blizko — modli się, codzień dziewczynka. Jakże odejdę stąd taka mała i bezbronna? I tam jeszcze!

Tam oznacza dalekie, jakieś nieznajome miejsca. Wcale ich nie zna, i one jej nie znają także.

— Tam mogę być tylko przybłędą.

— Święta, przeczysto Malwino, obróć na ziemię swoje miłościwe oczy, poszukaj blizko służby, wejrzyj na mnie — prosi gorąco, błagalnie.

Mijają dni, tygodnie, matka z pośpiechem przygotowuje dla Andzi wyprawkę. Toż musi dać dziecku choć jedną koszulę na zmianę, choćby ze dwie pary pończoch. Na dni powszednie wystarczy stara suknia, tylko trzeba ją porządnie uprać. Na podróż i na uroczyste święta zrobią Andzi nową. I nie z bylejakiego materjału! Z takiego, co służył

na weselu babce, zmarłej w ośmdziesiątym roku bogobojnego żywota. Matka odwróciła ją na lewą stronę, przeszyła, — i jest śliczna. Troszkę spłowiała tylko, ale wiadomo wszystkim, że zielony kolor jest nietrwały.

— Musisz mieć dwa czepeczki, dwa krochmalne kołnierzyki — wylicza strapiona Bretonka. — Czy je potrafisz uprasować?

Andzia uspokaja matkę. Nieraz widziała, jak to się robi. Jedno przeciągnięcie żelazkiem po czepku. Kołnierzyki osłania się słomą, tej chyba nie brak wszędzie.

Kobieta po namyśle otwiera wielką szafę. Tu spoczywają już od lat dwudziestu wszystkie jej czepki, wszystko, co nosiła we własnem dzieciństwie.

— Dzięki Bogu! — z ulgą oddycha dziewczynka. — Nie pójdę w świat z gołą głową.

Z przepaścistych głębin rodzinnego sprzętu wychyla się na izbę czarny, jedwabny fartuszek, w paru miejscach zaledwie przetarty, taki jeszcze śliczny, z kieszonkami! Andzia zapuszcza w nie drobne, poniszczone ręce. Z jakąż radością wsunie tu pierwsze pieniądze, zdobyte własną pracą.

Jednego ranka syn kolonisty przybiegł na ściernisko, gdzie Andzia pasła gęsi i pracowicie zbierała porzucone kłosy. Już zdala macha ręką, coś krzyczy, zadyszany, głośno.

— Prędzej! Prędzej! — woła. — Jedziesz do Paryża!

Twarz dziewczynki blednie i pokrywa się nagle wielkim smutkiem. Strwożonym półszeptem

przyzywa Jankę, młodszą siostrę, co opędza muchy z braciszka, śpiącego pod cienistem drzewem. Całuje ją serdecznie, długo.

— Zastąpisz mnie, siostrzyczko — odzywa się zmienionym, przerywanym głosem. — Pilnuj dwunastu gąsek, krów czerwonych, ciołka. W twoim wieku już naprawdę pomagałam matce. Teraz odchodzę pracować »na życie«, daleko, daleko, w Paryżu.

W gardle ją dławi, coś z wątłych piersi zrywa się z jękiem. Tuli gorącem objęciem rodzeństwo, dzieci płaczą głośno.

Potem żegna się z krówkami, każda otrzymuje serdeczną pieszczotę, Krasulę, co ma śliczne, różowe cielątko, całuje mocno między mądre oczy.

I biegnie prędko po ostrem, kłującem ściernisku.

W progu chaty stoi okazała dama, z ponsową parasolką w ręku.

— Ta mała? — pyta krótko, spostrzegłszy śpieszącą dziewczynkę.

— Tak jest, proszę pani — odpowiada półgłosem Bretonka.

— Czy dosyć silna, żeby nosić dziecko, pilnować dwojga innych?

— Och! Z pewnością!

— Teraz podobno niańczy? Chciałabym widzieć niemowlę? — oznajmia dama z nieufnem spojrzeniem.

— W polu jest, z bydłem. Gdyby pani raczyła się potrudzić?

Skierowano się ku żółtawym ścierniskom.

Andzia z pod oka przygląda się obcej. Twarz mizerna, nos zakrzywiony, kościsty, wzrok surowy.

— Daleko jeszcze? — odzywa się zmęczonym głosem.

— Tuż, proszę pani.

Opodal, pod rozłożystem drzewem, na szmaragdowem tle trawy rysuje się różowy profil uśpionego dziecka, w buzi trzyma ciemny smoczek, powoli ciągnie mleko z czysto wymytej butelki.

Dama schyla się powolnym ruchem, dotyka ręką zapotniałej flaszki.

— Mleko w sam raz ciepłe — szepcze z zadowoleniem — ale dziecko bardzo, bardzo brudne.

— Andzia niewinna — tłómaczy z zakłopotaniem Bretonka — myśmy ubodzy, na pieluszki przecież potrzeba pieniędzy.

— Chciałabym zobaczyć jeszcze, jak powija — odzywa się pani spokojniejszym głosem.

Dziewczynka z pośpiechem klęka w miękkiej murawie i bierze spowite dziecko na kolana. Ostrożnie rozwija białe płaty, ujmuje drobną ręką różowe pięty niemowlęcia, drugą podsuwa mu pod ciepłe plecki i unosi delikatnie w górę. Piotruś ssie wciąż z zapałem.

— Tęgie dziecko! — chwali z uznaniem nieznajoma pani.

Malec spogląda na nią sennemi oczkami.

Twarz otyłej damy rozjaśnia się stopniowo.

— Potrafi zrobić, co do niej należy — mówi po chwili. — Teraz jeszcze warunki. Musi prać dla dziecka, zajmować się trochę gospodarstwem, zmywać statki. Cały czas wolny może bawić się

ze starszemi dziećmi. Płacę koszty podróży i oprócz utrzymania daję pięć franków miesięcznie przez pierwsze pół roku, a następnie podwyżkę w miarę zasług.

— Zgadzamy się, wielmożna pani — odpowiada z wdzięcznością Bretonka. — Sam proboszcz ją umieszcza, mogę być spokojna.

Ciężkie westchnienie wybiega z jej piersi.

— Tylko... smutno to będzie rozstawać się z dzieckiem. Pani także jest matką, pani wie chyba, ile to kosztuje.

Dwie wielkie łzy toczą się po zwiędłych policzkach kobiety.

— Cóż robić, moi drodzy — tłómaczy przybyła. — Trzeba się przygotować na rozłąkę, kiedy wszystkich chata nie może wyżywić. Nie troszczcie się zresztą o córkę. Nauczę ją uczciwej pracy. Dom pobożny, Bogu dziękujcie, żeście tak trafili.

Czas jakiś idą w głębokiem milczeniu.

— Czy mała umie czyścić obuwie, trzewiki?

— U nas buty smaruje się łojem — objaśnia zakłopotana rybaczka.

— Wiem, jak to się robi — przerywa Andzia z dumą. — Na skórę kładzie się maść czarną, co jest w takiem błyszczącem pudelku. Potem się pluje i rozciera szczotką. Potem jeszcze inną, suchą, i bucik świeci, jak lustro.

Dama uśmiecha się łaskawie.

— Odjeżdżamy dziś wieczór — oznajmia po chwili. — Jutro rano będziemy w Paryżu. Przyprowadzicie córkę do pałacu.

Cisza.

— Do widzenia zatem — kończy pani chłodno.

Wzrok Andzi i matki długo jeszcze śledzi wspaniałą postać, która oddala się zwolna, wreszcie tylko jaskrawa plama parasolki miga wśród drzew zielonych.

* * *

Andzia jest w Paryżu na dworcu św. Łazarza. Pani woła dorożkę, siada, za nią dwoje dzieci i ulubiony piesek, służącej stangret pomaga dostać się na kozieł.

— Plac Bastylji — rozkazuje dama.

— Widzicie! Świat drogi! — klnie stangret z przyzwyczajenia.

Dorożka rusza z miejsca, rumak z wprawą wymija zwarty tłum przechodniów, szeregi tramwajów i pojazdów.

— Co tu ludzi! — z podziwem wykrzykuje Andzia.

Ogłusza ją tłum i hałas. Osłupiałem spojrzeniem obejmuje zielone bulwary, żółte omnibusy, co dzwonią bez końca, ogromne reklamy, tłum, przelewający się pomiędzy smukłemi drzewami.

— To ulice? — odzywa się wreszcie, nieśmiało.

— Bulwar — odpowiada woźnica.

Skręcają koło halli. Wzrok Andzi napotyka nieprzebrane stosy rozmaitych jarzyn, złotawoblade główki kalafiorów, i nagle w myślach staje

jej rodzinna wioska. Skąd się tu wzięły? Może stamtąd? Stamtąd, co i ona?

— To są jatki, a tu oddział ptactwa, drobiu, jarzyn — wskazuje uprzejmie stangret końcem bata. — Tam sprzedają kwiaty, jeszcze dalej wieńce.

— A któż zjada to wszystko? — wtrąca ogłuszona, oszołomiona dziewczynka.

— Jakto?! Paryż liczy przecie kilka miljonów mieszkańców — odpowiada z urazą woźnica.

Po obydwu stronach ulicy piętrzą się szeregi brudnych, zaniedbanych domów, potwornem cielskiem przesłaniają słońce. I to ma być Paryż? W marzeniach Andzi ukazywał się zawsze piękny, jak złocone ołtarze w cichym, bretońskim kościołku. I nie wie, czemu jej duszę owijają nagle mgły szarego smutku. Z odrętwienia wyrywa ją dopiero głos woźnicy.

— Zajeżdżamy — oznajmia uroczyście.

Dorożka zatrzymuje się przed wielkim domem, okrągłym, wysokim, niby wieża.

Więc tutaj będzie mieszkać.

Cała rodzina wchodzi powoli na schody, za nimi niosą walizki i paczki.

Na samym końcu rysuje się onieśmielona postać Andzi. Ze strachem stąpa po gładkich, niby lustro, stopniach, piękniejsze są jeszcze, niż szafa matczyna, której niewolno dotykać palcami.

Czwarte piętro! Olśniony wzrok dziewczynki dostrzega rozwarte narozcież podwoje, zdobne w złocenia i błyszczące klamki, potem korytarz, wysłany jaskrawym chodnikiem. Przestępuje próg

nieśmiało, zwolna. I nagle z łoskotem pada na posadzkę.

W sali wybucha zaraz śmiech serdeczny.

Andzia podnosi się gwałtownym ruchem, nic się nie stało i nic ją nie boli, więc śmieje się razem z innymi.

— Nie trzeba śmiać się, kiedy ja się śmieję — zwraca jej uwagę pani.

Dziewczynka blednie, łzy błyskają w jej oczach.

— Ani płakać — dodaje pani nieco łagodniej.

Zalega krótka cisza.

— Chodź! Pokażę ci drogę do kuchni.

Andzia wstaje posłusznie.

— Nastawisz zaraz wody na herbatę.

— A gdzie, proszę pani, studnia?

— Wodę bierze się z pod kranu — objaśnia pani Barbelet z powagą. Nachyla imbryk ponad zlewem, zakręca coś około kurka, i woda płynie kryształową strugą.

Dziewczynka przygląda się z pobożnem skupieniem, oczy wyrażają tylko niemy zachwyt. Jak to łatwo! Nie trzeba ciągnąć całą siłą korby, nie trzeba spuszczać kubłów na łańcuchu!

— Rozpaliłabym ogień, ale nie wiem, gdzie drzewo? — pyta z wielką nieśmiałością.

— U nas gotuje się na płomieniu gazowym — odpowiada pani krótko.

Zbliża się do kuchni z zapałką zapaloną w ręku.

— Uważaj teraz, Andziu — mówi zwolna. —

Najpierw odkręca się kran u góry, potem dolny. Przytykasz zapałkę...

Syk przeciągły, głośny — i wzdłuż rury tryskają złote wężyki ogników. Dziewczynka cofa się mimowolnym ruchem. Czy to aby nie wybuchnie? Ale uspokaja się prędko, płomień drga z jednostajnym szumem, woda w imbryku wre, bulgoce, śpiewa.

— A co się robi, jak zbraknie gazu w ty ruze? — odzywa się niespokojnie. — Skąd się wtedy weźmie?

— To dopiero głuptas! — śmieją się dzieci stojące dotąd cichutko u proga.

Nie. Andzia wcale nie była głuptasem. W tydzień zgłębiła trudne tajemnice, w tydzień nauczyła się obchodzić z nowem gospodarstwem. Zrozumiała także, że pani jest surowa i lubi gniewać się o wszystko, że pan poczciwy i dobry, panicz dokuczliwy. Zuzia, »biała panienka«, udaje nieprzystępną, ale w gruncie rzeczy serdeczne, miłe dziecko. Czasem pomaga nawet Andzi w pracy, ustawia rondle pomyte na półce, porządkuje w kredensie, zbiera chleb, owoce, ciastka i często odłoży dla Andzi cukierek, zawsze pamięta, żeby schować dla niej jaką łakotkę.

Aż raz, w pewien ciepły i pogodny ranek, pani uściskała dzieci, pochwaliła Andzię za to, że smacznie przyrządziła pieczone kurczęta, i oznajmiła, iż w nagrodę poprowadzi je do ogrodu. Bliziutko, przez most tylko.

Uradowana dziewczynka zarzuciła z pośpiechem odświętną sukienkę, przypasała czarny, jed-

wabny fartuszek i przypięła go na piersiach parą prześlicznych, koralowych szpilek, które kosztowały chrzestną matkę całe dziesięć groszy! Włosy przykryła białym, wykrochmalonym czepeczkiem i przegląda się z zachwytem w malutkiem, stłuczonem lusterku. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak wspaniale.

Z dumą wchodzi do jadalni.

— Jakaś ty śliczna! — wykrzykuje z przekonaniem Zuzia.

Oleś obrzuca strój służącej poważnym, doświadczonym wzrokiem. Zuzia ma rację, dziś wyjątkowo podziela jej zdanie.

Po chwili pani Barbelet przynosi jeszcze stare, wełniane rękawiczki Zuzi, tak przecież nie pójdzie, a te są zupełnie dobre. Zimowe wprawdzie, ale to nic nie szkodzi, teraz prawie jesień. I Andzia po raz pierwszy w życiu wciąga gruby, niewygodny pancerz.

Wkrótce są na ulicy.

Pani Barbelet kupuje u wejścia kromkę chleba dla łabędzi, laskowych orzechów dla zabawnych małpek, dla dzieci owsianego cukru. I wszyscy nikną w cienistych alejach ogrodu, tu i ówdzie przegrodzonych mocnemi kratami, napełnionych ostrym, niemiłym zapachem zwierząt z menażerji.

Co za cuda!

Słoń okazuje Andzi szczególniejsze łaski: ciemna, długa trąba spuszcza się delikatnie na gołą rękę dziewczynki. Bo już dawno zdjęła rękawiczkę, tak się bała, żeby olbrzym nie porwał nowego skarbu razem z chlebem. Mała Bretonka

śmieje się głośno, serdecznie. Jaki on zabawny! Jak zręcznie wkłada jedzenie do gardła. I ta gęba! Zupełnie niby zakryta ogonem. A drugi ogon króciuteńki z tyłu. To ci potwór! Wielbłądy również zdziwiły ją bardzo. Wprawdzie widziała kiedyś podobne stworzenie na okładce szkolnego kajetu, ale nie wyobrażała sobie nigdy, że to zwierzę tak ogromne, że potrafi, Boże odpuść, klękać, niby pobożni w kościele!

Przechodzą teraz do niedźwiedzi. Zuzia z przejęciem opowiada straszną historję o niańce, co upuściła niemowlę do rowu. Andzia drży całem ciałem, wstrzymuje oddech, przysłuchuje się z tłumioną grozą.

Znów wydostają się w inną aleję. Tu słońce przygrzewa mocno, i przechadzają się licznie piastunki ze strojnemi w hafty i koronki dziećmi. Czepki kobiet lśnią, niby złocenia ołtarzy, w dół od nich zbiegają szerokie, kolorowe wstęgi, sięgają prawie ziemi, mienią się barwną tęczą.

— Chciałabym mieć te śliczności — wyrywa się z westchnieniem z ust ubogiej dziewczynki.

— Małpki! Małpki! — woła nagle Zuzia.

Dzieci zatrzymują się przed dużą klatką. Za kratami poruszają się brunatne, włosem obrosłe zwierzątka, chrupią orzechy, szczerzą białe zęby. Albo się biją, krzyczą, biegają po sznurze, wstrząsają z gniewem metalowe pręty.

— Zabawne! Zupełnie malutkie »człowieczki«.

Nie mogą odejść od tej klatki.

— Zamykają bramy! — rozlega się niespodzianie donośne wołanie strażnika.

Niezapomniany, dobry dzień dla Andzi. Cóż kiedy daleko od swoich. Czy nigdy, nigdy nie może być zupełnie jasno.

* * *

Aż razu pewnego zjawiło się u państwa różowe dzieciątko.

Andzi malec wydaje się prześliczny, z tłuściutką buzią i gołą, okrąglutką, niby kula, główką. Nazwano go Filipem, bo tak sobie życzy przyszły ojciec chrzestny, wuj samej pani.

Andzia czuwa nad Fipciem, niby mała, troskliwa mateczka. Myje go, rozbiera, pozwala się przeciągać na dużym, płóciennym fartuchu, który jej podarowała pani. Malec całemi godzinami śpi na kolanach cierpliwej opiekunki, Andzia pilnuje, żeby smoczek był czysty, mleko zawsze jednakowo ciepłe, w miarę rozcieńczone gotowaną wodą, — tyle ma teraz roboty! A dzieciątko rośnie jak na drożdżach.

Po kilku dniach postanowiono, że gabinet ojca będzie chwilowo dziecięcym pokojem. I zaraz tam przeniesiono bieluchną kołyskę, strojną w błękitne kokardy i węzły, które wydają przeciągły, chropowaty szelest, ilekroć niania pochyla się nad śpiącem dzieckiem. Jej łóżko stoi tutaj także. Wyjrzało z ciemnej alkowy do jasnego, wyklejonego złotem obiciem pokoju i tuli się do muru, ubogie, ale czyste, w najciaśniejszym kącie. Ściany gabinetu zdobią obrazy, przytwierdzone na

błyszczących, mosiężnych rozetach. Jeden z nich szczególnym trafem przedstawia krajobraz bretoński: błękitne niebo przesłaniają lekko pomarszczone chmurki, z boku, na szarem wzgórzu widnieją kręcące się skrzydła wiatraka. Andzia wszystkie wolne chwile trawi przed tem malowidłem, — wiatrak taki podobny do tamtego u nich! Zrana, kiedy otwiera zwolna klejące się oczy, nieraz się jej wydaje, że jest w ukochanej wiosce, dopiero cichy płacz dziecka przyprowadza ją do przytomności. Więc prędko, prędziutko wyskakuje bosemi stopami na puszysty dywan (to nie ściernisko, co do krwi raniło jej nogi) i biegnie, uspakaja, kołysze maleństwo, półgłosem nuci mu stare kolędy i smętne, rybackie piosenki.

Minęło kilka miesięcy. Fipcio oddaje już pieszczoty swojej opiekunce, dla niej ma najpiękniejsze uśmiechy, najśmieszniejsze minki. Do niej tylko z chęcią wyciąga różowe, tłuste piąstki i całą mocą zaciska je na szyi Andzi, jeśli ktoś inny przyjdzie go odebrać. Matka aż zazdrości, aż jej przykro, że musi dzielić z obcą przywiązanie syna.

Zbliżają się zapowiedziane uroczyste chrzciny. Fipcio ma już pół roku i dwa prawdziwe zęby. Od paru dni zamęt i przygotowania. Przyjechał wuj pani, przyszły ojciec chrzestny, trzeba go ugościć, przyjąć. Andzi podobają się złote okulary i srebrzyste włosy staruszka.

Przyjechał i zaraz podszedł do chrześniaka, z czułością bierze go na ręce, malec wybucha przeraźliwym krzykiem.

— Jak się masz, Filipie — odzywa się protekcjonalnie. — Widzę, że zasługujesz na piękne, historyczne imię.

Oddaje małego piastunce.

— Nie pozwoli sobie po piętach deptać, panie tego — ciągnie uroczyście. — Trzymaj się, pamiętaj, chłopcze! A ty, nianiu, pilnuj dobrze.

Pogłaskał Andzię i dziewczynka czuje, że jest dzisiaj jakąś ważną, niezwykłą osobą.

Pan Barbelet sądzi, że teraz najodpowiedniejsza pora ofiarowania czegoś pracowitej niani. Wyciąga powoli sakiewkę i wyjmuje aż dwadzieścia franków. Sztuka złota błysnęła i znikła w czerwonej dłoni oszołomionej dziewczynki.

Luidor!

Serce tłucze się w jej piersiach, i myśli bezwiednie prawie biegną tam, daleko. Tu złoty krążek mieni się ponętnym blaskiem, ale tam dopiero naprawdę rozbłyśnie i ogrzeje trochę opuszczone gniazdo. Biedne, zimne, wygasłe ognisko. Bo zima ciężko daje się we znaki w Bretanji, wichry dmą, śniegi pokrywają ziemię. Do Paryża dochodzą tylko łagodne podmuchy, wiatr po ulicach wieje prawie dla zabawki, a tam, w skalistej, ubogiej krainie cały dzień idą przeraźliwe świsty i potęgują się pod wieczór, rosną, rozbijają się pod drzwiami z jękiem, huczą w kominach, rozsypują iskry, gaszą żarzące się głownie i dymią potem gryzącym, ostrym dymem. Andzia pamięta przecież takie noce! Zębami szczęka się z głodu i zimna, nieskończone razy umiera się z trwogi.

Gdybyż w taką noc straszną spadł złoty pieniądz,

jak z nieba? Jaśniej niż zorze wschodzącego słońca opromieniłby ciemnie zgasłego ogniska i znękane, przygnębione dusze.

Matka pobiegłaby zaraz do sąsiadki, kupić jajek, mąki, masła, za pieniądze przecież dostanie wszystkiego. Napiekłaby dzieciom placuszków. Wzrok Andzi mętnieje, i zda się jej nagle, że widzi wnętrze rodzicielskiej chaty. Przyniosła matka drzewa całą wiązkę, drewko za drewkiem łamie o kolano, już na kominie błyska purpurowy płomień, teraz białe ciasto miesi w czystej niecce. Ogień syczy wesoło, liże czerwonym językiem patelnię. Pękają iskry z głuchym trzaskiem, masło się topi z tajemniczym szmerem, matka skrapia ciasto pomarańczową wodą, potem rzuca na patelnię, potrząsa gwałtownie metalową rączką i wykłada na talerz zrumieniony omlet. Jeden, drugi, trzeci... Dziś nie zaznają głodu, Andzia przysłała pieniądze.

Nagle coś wilgotnego spływa jej po twarzy.

— Co tobie, Andziu — dobiega ją jakieś pytanie.

Dreszcz wstrząsa ciałem dziewczynki, już przeszło.

— Byłam u nas — objaśnia naiwnie.

Pan uśmiecha się z dobrocią.

— Takbym chciała posłać matce to, co dziś dostałam — szepcze onieśmielona. — I jeszcze za dwa miesiące zasługi. Trzydzieści franków to dla nich pomoc jakby z nieba!

— Dobrze, dziecko — zgadza się pan z ochotą.

— Tylko... nie wiem, czy potrafię podać

adres — dodaje Andzia lękliwie. — Niebardzo umiem pisać.

— Nie martw się, mała, już ja to załatwię. Dostaną list pojutrze.

Bije uroczyście piąta i z przyległego pokoju odzywa się cichy płacz dzieciątka. Andzia biegnie z lekkiem sercem do kołyski i po chwili wzbija się dźwięczny jej głosik. Śpiewa jakąś bretońską piosenkę, melodja rozpływa się echem oddalonych dzwonów:

Tam w dole, w dole gdzieś,
w zielonych sadach cicha wieś,
i świergot ptasi w gąszczach łóz,
i złote łany chlebnych zbóż,
i szafirowe fale mórz,
i skalnych szczytów srebrny śnieg,
i krwawy, w chmurach śpiący grzmot
i orłów lot.
Na południe bije dzwon,
srebrny dzwon
głośny dzwon...

Głos rwie się, łamie, cichnie i znów wybucha tęskną, smutną melodją:

Serce mi się wciąż wyrywa
do dalekich moich stron,
do tej ziemi ukochanej
serce mi się wciąż wyrywa...
Mnie tu pośród obcych stron
śnią się ciągle złote żniwa,
i ta wierzba i te łany,
i do ziemi ukochanej serce mi się wciąż
[wyrywa... *(Rydel).*

Piosenka drży, słabnie, malec przymyka senne oczki i zasypia z uśmiechem, głęboko. Andzia przypatruje mu się chwilkę z macierzyńską prawie troskliwością, potem układa delikatnie w biało-błękitnej kołysce i cichutko, na palcach, wysuwa się do kuchni. Jutro chrzciny i roboty jeszcze wyżej uszu, pod ścianą ciemnieje cały szereg trzewików, trzewiczków i butów.

Dziewczynka z zapałem bierze się do zasmolonych rondli, brudnych półmisków, kociołków, szoruje popiołem i piaskiem, odmuchuje, czyści. Potem ustawia porządnie na półkach i przypatruje się z uznaniem swemu dziełu. Statki błyszczą jak nowe, świecą, niby złote.

Teraz przychodzi kolej łopatki od węgli, pogrzebacza, szczypców, Andzia niczemu nie daruje, później jeszcze rozkłada cały zastęp widelców, noży, łyżek, pociera pracowicie, teraz jaśnieją, że można się przejrzeć, drobne ręce dziewczynki błyskają w nich różowem odbiciem.

Od czasu do czasu doświadczonem okiem obejmuje kociołek, stojący na ogniu; woda wre, syczy, gotuje się z jękliwym szmerem, wydaje jakieś dziwne głosy, jakby tysiące czarnych, rogatych djabełków uwijało się w blaszanem wnętrzu. Kto wie? Może całe pułki? Na ognistych, karych rumakach, co jadą najpierw stępa, potem truchtem, kłusem, aż przechodzą w szalony, bezpamiętny galop. Ot, teraz unoszą pokrywkę! Andzi zda się nagle, że słyszy splątane głosy płomiennookich szatanków:

— Rosół! Rosół! Rosół! — śpiewają rozbawionym chórem.

I niania wybucha śmiechem. Już wie, co jutro opowie Fipciowi, kiedy grymasić będzie przy jedzeniu.

— Puk! Puk!

Dziewczynka zrywa się na równe nogi: do drzwi kuchennych ktoś stuka.

Otwiera z pośpiechem, zmieszana: to froter

— Dobry wieczór, panno Andziu — odzywa się przyjaźnie wieśniak i prędko rozwiązuje worek· wyciąga sukna, szczotki, przytwierdza na długim kiju kawałek złotawego wosku.

— Troszkem się dzisiaj spóźnił — ciągnie, ocierając kroplisty pot z czoła. — Urwanie głowy od samego rana! Przyszedłem dlatego tylko, żeby kłopotu nie było. Wiadomo, że na chrzciny czysto musi być we wszystkich kątach.

Zdejmuje ciężkie, niewygodne buty i nakłada parę obszernych pantofli.

Potem bierze się do roboty; starannie zamiata posadzkę, rysuje na niej dziwaczne arabeski woskiem, nasuwa rzemienie szczotek na obrzmiałe nogi, szybko porusza się po saloniku, tam, tutaj i tu jeszcze, wzdłuż przebiega pokój, potem w ukos, prosto i znów w kółko. Szmer posuwanych szczotek łączy się z rytmem kroków i śpiewa jakąś poszarpaną nutę. Froteruje, aż pot zlewa zdyszane policzki, raz po raz zanosi się przeciągłym kaszlem.

W progu staje Andzia, posadzka już błyszczy nieskazitelną jasnością.

— Jak lustro! — woła z zachwytem dziewczynka.

A wieśniak zbiera swe przyrządy zmęczonym, ociężałym ruchem, twarz pokrywa mu się nagle sinawą bladością.

— Odpocznijcie — szepcze litościwie Andzia.

Ręką wskazuje jedwabną kozetkę, na której się złocą haftowane kwiaty.

Siada z wahaniem, ale prawie bez namysłu. Zmęczył się okropnie.

— Biedak — powtarza ze współczuciem Andzia. — Spracowaliście się widać zanadto. Ale mam rosół, już gotowy! Trzeba się napić, prędko.

Nieraz widziała, jak matka niosła chorej sąsiadce trochę zupy w garnku. Więc napełnia z pośpiechem sporą filiżankę i po chwili zmęczony wieśniak pije ciepły rosół ostrożnymi, małymi łykami.

Wtem, bez szelestu uchyla się portjera i z pomiędzy zielonawych fałd ukazuje się postać pani Barbelet, w kapeluszu, nawpół zakryta stosem pakunków i paczek, poprzewiązywanych jaskrawą tasiemką.

— Co to znaczy? — rozlega się głos rozgniewany.

Filiżanka drży nagle w spracowanych rękach.

Andzia ze zdumieniem spogląda na panią.

— On jest chory, proszę pani — zaczyna nieśmiało. — Trząsł się cały. Chciałam go trochę posilić.

— Zabieraj się do kuchni, niemądre stworzenie — rozkazuje sucho gospodyni. — I zapa-

miętaj, że rozporządzanie cudzą własnością to kradzież!

— Możecie odejść także — zwraca się z kolei do wieśniaka. — W przedpokoju są krzesła, mogliście tam odpocząć.

Biedak wypróżnia jednym haustem filiżankę, rosół parzy mu gardło, więc zanosi się okropnym kaszlem. Sam teraz nie wie, co począć. Bezwiednym ruchem zaczyna posuwać wtył i naprzód szczotkę.

Wreszcie składa swoje narzędzia do worka. Ta cisza po gniewie nie wróży chyba nic dobrego.

Pani Barbelet z nasępioną twarzą podaje mu należność.

— Nie będę was potrzebowała więcej — odzywa się na zakończenie i znika w dalszych pokojach.

Andzi nie oddala dlatego, że mały nie umie jeszcze obchodzić się bez niej.

Powraca do przerwanej pracy w jadalni na stole piętrzy się stos różnobarwnych, kosztownych pudełek.

— Podarki dla gości - domyśla się Andzia.

Nazajutrz wstał dzień jasny, uroczysty. I Andzi lekko jakoś zrobiło się w duszy. Z dumą dźwiga Fipcia w długiej białej sukience i płaszczyku, strojnym w łabędzi delikatny puszek. Goście podziwiają tęgie, śliczne dziecko. Potem rojno i gwarno wszyscy siadają do uczty. Ojciec chrzestny, wuj pani, króluje dziś na pierwszem miejscu, wznosi

toasty, promienieje. Ostatnie zdrowie spełniają za pomyślność malca.

Przy deserze pojawia się nieśmiało przywołana Andzia. Pan podaje jej spory kielich szampańskiego wina. Jakżeż! Niania nie wypiłaby za zdrowie różowego Fipcia? Więc wzdraga się, ale dotyka wargami przejrzystego kryształu. Krztusi się, policzki oblewają się mocnym rumieńcem.

— Zakręciło ci w głowie? — rubasznie pyta ojciec chrzestny.

— Trochę — odpowiada zawstydzona. — Ale dobre.

Twarz staruszka rozjaśnia się nagle uśmiechem, potem wręcza dziewczynce bladoróżowe pudło, pełne cukrów i migdałów.

Andzia je obejmuje drżącemi rękami i cicho wysuwa się do kuchni.

— Poczęstuj mnie, pyszne być muszą te wszystkie łakocie — odzywa się otyła pomywaczka, obcierająca spiesznie talerze i szklanki.

— Nie mogę, proszę pani — tłumaczy się z pokorą Andzia. — Sama się nie dotknę. Schowam to na pamiątkę, na całe, całe życie!

. . . .

Czas płynie, płynie wartkim, niewstrzymanym pędem.

Fipcio rośnie jak na drożdżach. Już ma wszystkie zęby i pokazuje je niani w kochającym, serdecznym uśmiechu. Bo dla Andzi chowa zawsze najczulsze pieszczoty, do Andzi się przywiązał całą siłą małego serduszka. W mieszkaniu

pusto i smutno, Zuzia daleko, uczy się w klasztorze, Oleś codzień gorszy, codzień złośliwiej dokucza. Najgorzej przecież jest wtedy, kiedy zaczyna sprzeciwiać się dziecku. Drażni je, przekomarza się, męczy. Psuje Fipciowi »charakter« skarży się przerażona Andzia. Ona, biedaczka, cierpliwie znosi wszystkie psoty.

Zuzia jej oznajmiła pod sekretem, że pojadą na wakacje do Bretanji, jeśli Fipcio do tej pory nauczy się chodzić!

Żyje teraz tą nadzieją. Tam powrócić! Zobaczyć matkę, Piotrusia, siostrzyczki, ojca, jeżeli przyjechał z Islandji! Módz myśleć o tem, cieszyć się naprzód spodziewanem szczęściem! Uprosi potem panią, żeby jej noc jedną pozwoliła spędzić ze swoimi. Znów dotknie wilgotnawej ziemi, co zastępuje podłogę w ubogiej lepiance, stęsknione oczy spoczną na złotym ogniu z ciernistych janowców, który co wieczór płonie na kominie, ujrzy wielkie, bretońskie, dwupiętrowe łóżko, podobne do ogromnej szafy, zegar stary, kształtem trochę przypominający trumnę, z wymalowanym pięknie obrazem św. Yves'a.

Niechno Fipcio nauczy się biegać! Więc troskliwie ujmuje go pod rączki i wodzi ostrożnie po kuchni, ustawia pulchne, małe nóżki. Czasem gdzieś, o parę kroków, umieści przysmaczek, i malec wyciąga łakome paluszki, posuwa się chwiejnie. Andzia czuwa przy nim, usuwa przeszkody, podtrzymuje, nie pozwala upaść.

Nadszedł dziesiąty październik, a z nim pierwsze urodziny malca. W jadalnym pokoju uroczy-

ście zebrała się cała rodzina, Andzia stawia na podłodze pięknie ubranego malca, coś szepcze mu do ucha, zachęca. Dziecko obejmuje wszystkich ciekawem spojrzeniem, ojciec trzyma w ręku ślicznego pajaca, srebrne dzwoneczki migocą ponętnie. Więc mały wyrywa się z objęć piastunki, nieśmiało stawia pierwsze kroki, z wyciągniętemi rączkami wybiega do ojca, w przeciwległy róg pokoju.

Z rąk mu zabiera zabawkę, całuje przelotnie, prędko: broda ojca twarda, kłuje delikatną skórę. Przyciska mocnym ruchem pajaca, sznurki, świecidełka, i bez namysłu z powrotem zawraca do Andzi. Nie patrzy na matkę, co przywołuje go teraz, rada wyczytać radość w błękitnych, rozjaśnionych oczach. Na kolanach niani składa otrzymaną zabawkę, w ramiona niani tuli się z miłością.

Biedne maleństwo! Instynktownie pragnie podzielić się wszystkiem z tą, która go bawi, huśta, kołysze co wieczór, karmi, do snu śpiewa, zawsze cierpliwa, chętna. Teraz chce się odwdzięczyć za opiekę i śmieje się srebrzystym śmiechem, szczebiocze, małe rączki oplatają szyję.

— On i dla ciebie, Andziu — mówią promienne oczęta. — Kochana, dobra nianiu, pobaw się ze mną tem świecącem cackiem.

Ale matka podnosi się ruchem gwałtownym i sztywno się zbliża do synka. Malec kryje w fartuch Andzi jasnemi lokami okoloną główkę.

— Fipciu! — prosi dziewczynka. — Fipciu!

Pocałujże mamę. Nic się nie wstydzisz? Taki duży chłopiec!

Milczenie. Złota główka znika za plecami niani.

Matka bierze go na ręce, odwija sukienkę, rozlegają się dwa głośne klapsy.

— Ojoj! Niechże mu pani przebaczy — zaczyna Andzia przerażonym szeptem. — Urodziny!

Pani Barbelet obrzuca surowym wzrokiem piastunkę i Andzia spuszcza zalęknione oczy. Jeden raz tylko widziała już podobny wyraz.

Pani znika w drzwiach gabinetu z płaczącym Fipciem, który się gwałtem wyrywa z jej objęć.

— Niania! Niania! Do niani! — woła żałosnym głosem.

Andzia unosi się zwolna z podłogi. Oczy ma suche, ale na twarzy wyraz powagi i smutku. Oddaje panu pomiętą zabawkę.

— Nie martw się, dziecko — odzywa się łagodnie pan Barbelet.

Nie może wytrzymać dłużej i wybucha głośnym płaczem.

— A jeśli pani odbierze mi Fipcia? — szepcze prawie z rozpaczą. — Jeżeli mię zechce oddalić? Przecież może wszystko. Boże! Boże!

Ucieka ze łkaniem do kuchni.

Ale godziny lecą jak na skrzydłach. Ot, zegar wydzwania dziesiątą i Andzia przerażonym ruchem ociera zapłakane oczy. Toż będą goście na obiedzie! Kolega Olesia, dwie kuzynki. Panna Zuzia sama układała spis potraw. Ma być także

niespodzianka. Zuzia z tajemniczą minką objaśniła wszystko, przyniosła szczelnie zamknięte pudełko.

Niespodzianka co się zowie! Dziewczynka mimowoli się uśmiecha i z pośpiechem nadziewa gęś jabłkami. Potem opłukuje śpinak na białej miseczce, obrywa korzonki, przyrządza. Jezu! Co roboty! O dwunastej podaje do stołu, pani przykazała, żeby obiad się nie spóźnił, a tu gęś tłusta, z pewnością dłużej będzie piec się, niż godzinę. Zielone liście śpinaku znów lecą w cebrzyk jednostajną smugą. Szczęściem panna Zuzia sama dzisiaj nakryje do stołu. Pod każdą serwetką ma być jakiś podarunek. A Fipcio pierwszy raz zasiądzie z wszystkimi przy stole, na nowem, wysokiem krzesełku, pod pulchną buzią zawiążą mu białą zasłonkę, zamiast butelki ze smoczkiem dostanie śliczny, srebrny, maluteńki kubek.

— Jakże to będzie zabawnie!

Woda wre już na fajerce. Andzia pogrąża w cebrzyku czerwone, spracowane ręce, wyławia zieleń, wrzuca do rondelka.

Teraz kolej na pieczeń, trzeba ją wsadzić na rożen.

Mała służąca z trudnością wypełnia tę czynność.

Po chwili skwierczy już na silnym ogniu.

— Trzeba prędko podlać!

Otwiera panewkę i chwyta łyżkę z długim, cienkim trzonkiem, polewa umiejętnie, zwilża bez ustanku zrumienioną skórę. W ten tylko spo-

sób zabezpieczy gęś od przypalenia i zachowa delikatność mięsa.

— Przecież!

Dzwonek w przedpokoju dźwięczy, rozbrzmiewa gwar wesołych głosów. Przyszły siostry cioteczne w jasnych, różowych sukienkach, witają się, śmieją, pieszczą Fipcia wystrojonego świątecznie i biało.

I odtąd bez przerwy z saloniku dobiegają śmiechy. Andzia z bijącem sercem dogląda piekącej się gąski. Wreszcie pieczeń gotowa.

Całe szczęście, bo właśnie siadają do stołu. Przekąski znikną w oka mgnieniu.

— Żebyż się tylko udało! — wzdycha z przejęciem dziewczynka.

Wybiera największy półmisek, na nim stawia drugi, mniejszy, i ostrożnie, płasko, wykłada zielone masy szpinaku: mają wyobrażać łąkę. Potem wyciąga z pudełka Zuzi maleńkie, okrągłe lusterko i delikatnie umieszcza w środku: przedstawiać ma sadzawkę i zdrój chłodny, czysty. Teraz wyjmuje dwanaście maleńkich owieczek, cztery będą pić ze źródełka, reszta z pochylonym łebkiem szczypie apetyczną trawę. W lewym rogu półmiska układa pięknie zrumienioną pieczeń i przystraja zieloną rzerzuchą niby wzgórze, spalone przez gorące promienie słoneczne. Na samym szczycie staje ponsowo ubrana pastuszka i mały piesek z czarnymi, krętymi kudłami, strzegą z wyniosłości stada.

— Jak ślicznie!

Z zachwytem się wpatruje w swoje arcydzieło.

— Chyba nie może być ładniej!

— Cudnie! — zapewnia uradowana Zuzia, która wpadła przed chwilą do kuchni. — Chodź! Ja pójdę naprzód!

Andzia przypasuje czarny fartuszek na spłowiałą, zieloną sukienkę i tryumfalnie podnosi półmisek, tryumfalnie kroczy za swą przewodniczką.

Stawia z przejęciem na stole.

— Pieczeń à la Florjan — oznajmia uroczyście Zuzia.

Z ust zebranych wyrywa się okrzyk podziwu.

Zuzia staje teraz przy młodszym braciszku.

— Na zboczu góry
Stała pastuszka,
— pasła spokojne,
— ciche owieczki...

śpiewa dźwięcznym głosem.

— Ciche owieczki — podnosi się wokoło chórem. Z zapałem otwierają się różowe dziobki, zachwycone dzieci nie widzą uciszających rodzicielskich gestów.

Ojciec zaczyna krajać pieczeń z rezygnacją. Andzia zręcznie zdejmuje wierzchni półmisek i półszeptem opowiada dzieciom, że owieczki zmęczone, trzeba zaprowadzić do owczarni. Przynosi z kuchni salaterkę świeżego szpinaku, ubranego w chlebowe, osmażane skórki.

Pyszny obiad! Owoce, migdały, ciastka. Przed każdem nakryciem maleńkie kieliszki, które pan Barbelet napełnia przejrzystem, lekkiem winem.

Spełniają zdrowie Fipcia, potem piastunki, co go tak troskliwie chowa.

Andzia rumieni się z radości. Cisza.

— W nagrodę otrzyma dobre świadectwo — odzywa się nagle pani domu chłodno.

Twarz dziewczynki bieleje, jak opłatek.

— Poco, proszę pani? — pyta zdławionym głosem.

— Żeby ci ułatwić znalezienie nowej służby.

Drżenie przebiega drobną, smukłą postać, aż zadźwięczały szklanki na tacy, którą trzyma w ręku. Chwiejnym krokiem wysuwa się do kuchni, siada ciężko na małym stołeczku, zakrywa twarz dłońmi.

Z Fipciem chcą ją rozłączyć, z tą złotą główką o jasnych, dobrych oczach. Chętniejby oddała duszę. Odrazu wiedziała przecież, że państwo nie wzięli jej na całe życie, ale już teraz rozstawać się z dzieckiem! Myślała, że taka chwila nastąpi, kiedyś, kiedyś, za lat dwadzieścia może, kiedy Fipcio pójdzie do wojska, a ją złożą w czarnej, poświęcanej ziemi. Ale po roku, tak ni stąd, ni zowąd! Łzy strumieniem płyną po twarzy dziewczynki, piekące, słone, na usta wybiega krzyk dziecka.

— Mamo! Moja mamo!

Przy stole ucichły śmiechy, posmutnieli wszyscy, Zuzia gwałtem wstrzymuje łzy pod powiekami.

— Fipcio jeszcze taki mały — zaczyna mąż z perswazją.

— Ale zanadto się do niej przywiązał — odpowiada stanowczym tonem pani domu.

Andzia już się nie śmiała tego wieczora po-

kazać w jadalni. Dopiero kiedy pogaszono światła, kiedy się udali wszyscy na spoczynek, cichuteńko, na palcach, wśliznęła się do dziecięcego pokoju, poomacku znalazła kołyskę i spłakaną twarz przycisnęła do różowej buzi uśpionego malca. Cofnęła się potem, prawie bez szelestu i z ciężkiem sercem pobiegła na górę, pozbierać rzeczy, związać ubogi węzełek. W róg jedynej chustki starannie zawinęła wszystkie oszczędności: srebrną pięciofrankówkę i dwa franki drobnemi. Październik dopiero się zaczął, pewnie nie otrzyma za ten miesiąc pensji. Do pierwszego blizko trzy tygodnie, gdyby jej pozwolili czas ten przebyć jeszcze z Fipciem!

Ale nazajutrz przeniesiono błękitno-białą kołyskę do sypialni matki, a po obiedzie pani Barbelet kazała Andzi umyć się i ubrać, pójdą do klasztoru, gdzie panie poszukują służących.

— Więc to zaraz, proszę pani! — jąka ze łzami dziewczynka.

— Tak. Wyjeżdżamy do Bretanji. Na wsi, wśród krów, kur i kaczek mały prędzej cię zapomni. Nie chcę, żeby odczuł tę zmianę, mogłaby wpłynąć na jego zdrowie.

Mój Boże! Mój Boże! Czy to podobna, żeby Fipcio o niej zapomniał, o niej, co płakać po nim będzie całe życie!

Serce tłucze się w piersiach, jak ptak postrzelony, wzrok przesłaniają łzy gorzkie, palące.

Pani z uwagą patrzy na służącą, i nagle w mózgu świta jej myśl nowa.

— Nie troszcz się o pensję — zapewnia łagodnie. — Zapłacę ci za cały rozpoczęty miesiąc.

Andzia pochyla nizko płową głowę.

Wraca do swego pokoiku. Powoli kładzie lepszą sukienkę, zieloną, jedwabny fartuszek z kieszonkami, biały, nakrochmalony starannie czepeczek, cały strój odświętny, z którym nie licują tylko przybladłe policzki i zasiniałe, podkrążone oczy. Znikła twarz jasna, tryskająca zdrowiem, rumiana niby czerwone jabłuszko, zgasły przejrzyste, pełne blasku oczy.

Już nie chce nawet pożegnać się z Fipciem, płakałby tylko napróżno biedaczek; przez uchylone drzwi po raz ostatni dostrzega złotymi lokami otuloną główkę, słyszy śmiech wesoły, dziecięcy, bez troski.

Schodzą prędko z pięknych, marmurowych schodów, pani woła dorożkę, Andzia oddaje węzełek woźnicy, sama umieszcza się na przedniej ławce i odwraca od bramy zapłakane oczy. Woli nie patrzeć.

Pani każe jechać do klasztoru.

Kilka wązkich ulic i są już na miejscu. Dorożka zatrzymuje się przed grubymi, szarymi murami, nad drzwiami ciemnieje krzyż ogromny, czarny. Pani Barbelet wysiada pierwsza i mocno pociąga za dzwonek. Po chwili ciężkie odrzwia uchylają się prawie bez szmeru, i w progu staje zakonnica w długiej sukni, z pękiem kluczy u pasa, z pośród których przebłyskują czarne perły hebanowego różańca. Na powitanie zniża lekko czoło i w milczeniu wprowadza do dużej mównicy. Tu,

w wielkiem krześle, rysuje się postać drugiej mniszki.

Andzia czuje nagle lęk nieokreślony, spuszcza mimowoli głowę.

Pani Barbelet oznajmia w krótkim wstępie, że z czystem sumieniem daje »małej« pochlebne świadectwo.

— Jest uczciwa, pracowita, chętna. Odprawiam ją tylko dlatego, że chcę odstawić dziecko. Zanadtoby grymasiło. Wyjeżdżamy zresztą. Ale powtarzam, że mogę polecić ją śmiało — kończy z niezwykłą godnością.

— Postaramy się o dobre miejsce, skoro zasługuje na nie — odzywa się łagodnie starsza zakonnica. — Jedna z pań znajomych potrzebuje właśnie piastunki do dzieci. Zaraz ją uprzedzę. Chodź, kochanko.

I z uśmiechem przybliża się do onieśmielonej Andzi.

Idą długo mrocznym korytarzem, aż wreszcie rozszerza się w sklepioną, wielką salę. W rogu stoi stół ogromny, poczerniały od starości, przy ścianach wysokie wyplatane krzesła, posadzka błyszczy, niby gładka tafla lustra, nagie, surowe mury lśnią niepokalaną bielą; tuż przy wejściu Chrystus w cierniowej koronie, rozpięty na krzyżu ze słoniowej kości, z gasnącym wzrokiem i rubinami krwi na boku, na przebitych, umęczonych nogach...

W pokoju siedzi piękna pani. I ubrana tak ładnie: przy staniku ciemnieje wiązanka ślicznych fijołków. Twarz obcej promienieje pogodą i dziwną

dobrocią. Za nią stoi dziewczynka, mniej więcej w wieku Andzi, dwa jasne warkocze spływają wdzięcznie na plecy.

— Co umiesz, dziecko? — pyta łagodnie przybyła.

— Umiem wychowywać dzieci — oznajmia mała służąca z powagą. — Wypiastowałam Fipcia. Pani może się przekonać. Mieszka na placu Bastylji. Zdrowe, tęgie, różowiuchne bobo.

Dama obejmuje dziewczynkę nawpół zdziwionym, pół rozweselonym wzrokiem. Nic dotąd nie rozumie.

— Potrafię czysto utrzymywać smoczki, umiem prać pieluszki, ścierki, trochę gotować, sprzątać — recytuje jednym tchem zdyszana Andzia. — Nie jestem zła wcale. Nie uderzyłam nigdy, nigdy Fipcia. Kochaliśmy się bardzo, i dziecko się zanadto przywiązało. Dlatego mnie oddalono.

Nie może powstrzymać się dłużej, i łzy jak perły sypią się po bladej twarzy. Piersi wstrząsa płacz stłumiony, głuchy.

— Niech pani przeczyta świadectwo — kończy przerywanym głosem. — Powiedziałam prawdę, ja nie kłamię nigdy.

Obca bierze podaną karteczkę i przykłada do oczu dziwne, migotliwe szkiełka.

— Chciałabyś jechać na wieś? — odzywa się po chwili, z przyjaznym uśmiechem.

— I jak jeszcze.

— Będziesz posługiwała tej oto panience, drugiej, trochę młodszej i paniczowi, który ma lat dziewięć. Dzieci są grzeczne, przyzwyczajone uprzej-

mie obchodzić się ze służbą. Nie zrobią ci napewno krzywdy.

— Cierpliwa jestem, proszę pani — odpowiada Andzia.

— Czy potrafisz hodować kury, kurczęta, drób domowy, ptactwo?

— U nas, w Bretanji, miałam całe stada ślicznych gąsek, u pani Barbelet opiekowałam się małym, pokojowym pieskiem.

— Ile ci pani płaciła na miesiąc?

— Dziesięć franków.

— Dostaniesz piętnaście, jeśli się okażesz pracowita, chętna.

Policzki Andzi pokrywają się silnym rumieńcem, oczy migocą chwilę dawnym blaskiem. Tyle pieniędzy, toż radość będzie w cichej wiosce!

— Więc mię pani »bierze«? — szepcze, niedowierzając jeszcze własnym uszom.

— Naturalnie.

Dama wchodzi do biura kontroli z rozjaśnioną twarzą. Mała ogromnie jej się podobała. Płaci pięć franków za dostarczenie przez klasztor służącej, prócz tego jeszcze poniesie koszta jej podróży. Siostry rozmawiają z klijentką przyciszonym głosem, polecają dziewczynkę, pytają o coś, o coś proszą.

— Bądźcie spokojne, siostry, dostaje się do poczciwego domu, — uspakaja z uśmiechem przybyła.

Po chwili są już obie na ulicy, przed bramą klasztoru czeka najęta dorożka. Oczy dziewczynki znów zasnuwają się smutkiem, w myślach jej

stają złote włoski i pieszczoty Fipcia. Już go pewnie nigdy, nigdy nie zobaczy! To jest życie. Ale już nie tak ciężko na duszy, jak przedtem, już ma dach, pod którym złoży dzisiaj głowę. Tylko czuje się zupełnie inna, poważniejsza, starsza, rozumie teraz tyle, tyle rzeczy...



BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

		kop.
1.	**Anczyc Wł. L.** Zółw i Makolągwa, powiastka	6
2.	**Amicis E.** Moi koledzy	10
3.	— Mały patrjota	6
4.	**Chrząszczewska J.** Szare kaczątko. — Duże i Małe	8
5.	— Królestwo grzybów. — Tocia	6
6.	— Bal u pani Żaby — Czarodziejska kukułka	8
7.	**Andersen H.** Historja roku. — Dziewczynka z zapałkami	6
8.	— Brzydkie kaczątko	6
9.	— Ropucha. — Krasnoludek	6
10.	**Niewiadomska C.** Za poźno	6
11.	— Lat temu 900	6
12.	— Słoneczko. — Na świeżem sianku	6
13.	**Kipling R.** Bracia Mowglego	6
14.	— Rikki-tikki-tavi	6
15.	**Zaleska M. J.** Obłoczek. — Przygody rodziny jeżów	5
16.	— Wędrówka Celinki. — Wieszczka okruszyn	6
17.	— Wojtuś. — Michałek. — Podejrzenie.	6
18.	**Daudet.** Oblężenie Berlina	6
19.	— Koza ojca Bartłomieja. — Ze wspomnień kuropatwy	6
20.	**Kraszewski J. I.** Królewicz Bolko	5
21.	**Niewiadomska C.** Wnuczka Kazimierza	5
22.	**Sienkiewicz H.** Pod Zbarażem (z pow. «Ogniem i Mieczem»)	12
23.	**Teresa Jadwiga.** Rycerz Błękitny	10
24.	— Słowianie: uroczystości i obrzędy	6
25.	— Bolesław Chrobry	6
26.	**Bukowiecka Z.** Zalew kopalni	6
27.	— Legendy górnicze	6
28.	**Warnkówna J.** Wędrówka kwiatów	5
29.	— Na łące — Amator jajecznicy	6
30.	**Weryhówna M.** Sierota. — Nad Wisłą. — Sikoreczka	5
31.	**Szymanowska Z.** Bez. — Scyzoryk. — Biczyk — Sukienka	6
32.	— Niewidomy. — Kraszanki	5
33.	— Rodzina królików. — Muszka i pająk	5
34.	**Jachowicz St.** Bajki i wiersze (wybór)	8
35.	**Chęciński Jan.** Wybór wierszyków	6
36.	**Niewiadomska C.** Bardzo dawno. — Królestwo skał	5
37.	— Przyjaciółki. — Waluś	6
38.	— Bez przewodnika	8
39.	**Lenartowicz T.** Zachwycenie	4
40.	**Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Janko Cmentarnik	6
41.	**Gawalewicz M.** Królowa niebios. Legendy o M. Boskiej	10
42.	**Morawska Z.** Koronacja Zygmunta Augusta	6
43.	**Lenartowicz T.** Wybór poezji	8
44.	**Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezji	10
45.	**Hoffmanowa Klem.** Wybór powiastek	8
46.	— Dziennik Franciszki Krasińskiej	20
47.	— Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
48.	**Chrząszczewska Jadwiga.** Upał. — Sosna	6
49.	**Krakowowa Paulina.** Wybór powiastek	6
50.	**Andersen H.** Kwiaty Idalki	5

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

		kop.
51.	**Andersen H.** Coś. — Len	
52.	— Cień. — Spiewak z pod strzechy	6
53.	**Amicis E.** Na tonącym okręcie. — W szpitalu	6
54.	— Od Apeninów do Andów	8
55.	**Kipling R.** Kot, który chodził własnemi drogami.— Słoniatko	6
56.	— Ankus królewski	6
57.	— Toomai od słoni	6
58.	**Asnyk A.** Wybór poezji	8
59.	**Ujejski K.** Wybór poezji	8
60.	**Anczyc Wł. L.** Daleka podróż dwóch piesków pokojowych	5
61.	— Swierszcz. — Błędne ogniki	5
62.	— Rozbitki na wyspie Jan Mayen	6
63.	**Zaleska M. J.** Cztery prządki. — Robotnicy P. Jakóba	6
64.	— Gwiazdka. — Najlepsza zabawa	5
65.	— Wiewiórka. — Pogrzeb szczura	5
66.	**Teresa Jadwiga.** Stacho	10
67.	— Pogrzeb ostatniego Jagiellona. — Elekcya	6
68.	**Sienkiewicz H.** Pod Grunwaldem. (Ustęp z Krzyżaków)	8
69.	— Zdobycie Kamieńca. (Ustęp z Pana Wołodyjowskiego)	6
70.	**Niewiadomska C.** Z życia Mickiewicza	6
71.	— Dotrzymuj słowa. — Koledzy. — Samolub	6
72.	— Noc sierpniowa	6
73.	**Daudet A.** Napad szarańczy	6
74.	**Andersen H.** Królowa śniegu	8
75.	— Matka. — Anioł. — Sosna	6
76.	**Zaleska M. J.** Wesele zięby	6
77.	**Zaleski Józef Bohdan.** Wybór poezji	12
78.	**Pol Wincenty.** Pieśń o ziemi naszej	10
79.	**Wasilewski Edmund.** Wybór poezji	6
80.	**Sienkiewicz H.** Jurand ze Spychowa. (Z Krzyżaków)	15
81.	**Demolder E.** Kwiaciareczka	6
82.	— Mała służąca	8
83.	— Sąsiedzi	
84.	**Pape-Carpantier M.** Historja siwka. — Dwa koty	6
85.	**Szymanowski W.** Jan Gutenberg	8
86.	— Lew Canovy. — Salvator Rosa	8
87.	— Gustaw Waza	8
88.	— Anna księżniczka Bretanji	8
89.	**Bełza W.** Młodość Sobieskich	
90.	**Amicis E.** Mali niewidomi	
91.	**Kipling R.** Kaa na polowaniu	
92.	**Andersen H.** Dziecię elfów. — Polny kwiatek	6
93.	**Zaleska M. J.** Bajeczki babuni	
94.	**Anczyc Wł. L.** Motyl i gąsienica	
95.	**Sienkiewicz H.** Łowy w puszczy	
96.	**Zmorski R.** Wieża siedmiu wodzów	
97.	**Bukowiecka Z.** Kazimierz Wielki	
98.	— Nasi praojcowie	
99.	**Dyakowski B.** O świstaku	
100.	— Z życia termitów	